

MELANIA PARCZEWSKA

# NAD MORZEM

OPRACOWAŁ  
WITOLD KOCHAŃSKI

~~BIBLIOTEKA~~  
~~Państwowego Liceum Pedagogicznego~~  
~~w GLIWICACH~~  
Nr. 4496



4496



PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH  
WARSZAWA 1948

BIBLIOTEKA ZIEM ODZYSKANYCH  
pod redakcją dra Stanisława Helsztyńskiego

Zatwierdzone pismem Ministerstwa Oświaty  
nr VI Oc-650/47, z dnia 13 września 1947 r.,  
jako lektura dopuszczona do bibliotek na-  
uczycielskich.



821.162.1-3



Par  
Mad  
8-3

~~4496~~

SN 22045

1. —

Podpisano do druku dnia 26. V. 1948 r.

Ark. druk.: 3

Zarządz. 679

Nakład 10 000 egz.

Zamówienie nr 1844

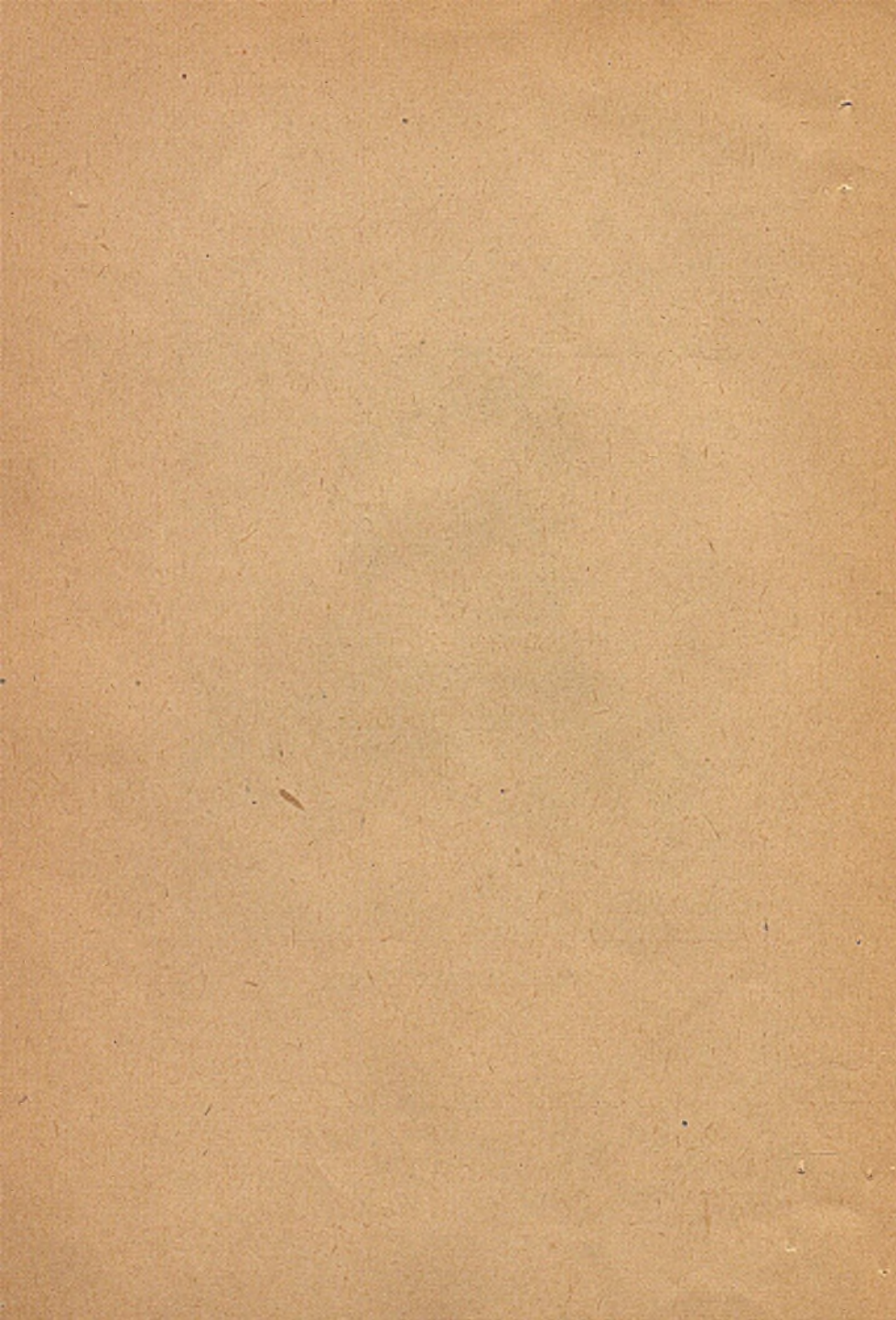
Pap. w form. 61/86 cm. g 70, kl. V

Drukarnia Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi -  
30/48 — D - 024198





MELANIA PARCZEWSKA





## SŁOWO WSTĘPNE





Polska dziewiętnastowieczna przez długie dziesiątki lat spoglądała na wschód i nie dostrzegała morza. Jagiellońskie Wilno bliższe było pokoleniu romantyków niż piastowski Szczecin, ze stepami Ukrainy czuli się bardziej związani niż z wybrzeżem Bałtyku. Odbicie tego wschodniego nastawienia znajdujemy w wielkiej<sup>2</sup> poezji romantycznej, w której zresztą usprawiedliwia je fakt, że żadnemu z wybitnych przedstawicieli naszego romantyzmu nie było dane ujrzeć polskiego morza i Pomorza. Mickiewicz mimochodem tylko napomknął o Gdańsku w *Panu Tadeuszu* i o wybrzeżu Bałtyku (litewskim) w *Konradzie Wallenrodzie*, a myśl Słowackiego jedynie we wzlotach mistycznych kierowała się ku rugijskiej Arkonie<sup>1</sup>). Trudniej już zrozumieć, że geograf Pol w *Pieśni o ziemi naszej*, poemacie poświęconym opisowi ziem polskich, nie wspomniał ani jednym słowem o Kaszubszczyźnie i polskim brzegu, choć pierwszy w nauce polskiej zwrócił uwagę na Kaszubów i na tradycje słowiańskie Pomorza Szczecińskiego, a zwłaszcza Rugii<sup>2</sup>). Fantastyczne poematy Deotymy (*Wyszymir* — 1860) nieczym istotnym nie wiązały się z terenem, na którym toczyła się ich akcja. Kraszewski, Lenartowicz, Zmorski i — rzecz znamienna — Ślązak Damrot poświęcili naszemu morzu i wybrzeżu po jednym do kilku wierszy. U innych i tego byśmy nie znaleźli.

„Odkrycie” polskiego wybrzeża i mieszkającej na nim od wicków ludności polskiej nastąpiło około połowy XIX wie-

ku. Znaczną zasługę należy tu przypisać Krzysztofowi Celestynowi Mrongowiuszowi, pastrowi i lektorowi języka polskiego w Gdańsku, wytrwałemu szermierzowi w walce o prawa języka narodowego w kościele i szkole, obejmującemu zasięgiem swej pożytecznej działalności ziemie Słowińców, Kaszubów i Mazurów. Mrongowiusz zaczął interesować się Kaszubami i Słowińcami już ok. r. 1823 i odbył nawet w r. 1826 podróż w te strony, a w r. 1828 sporządził nowe wydanie słowińskiego *Katechizmu* Pontana<sup>3)</sup>. Materiał naukowy zgromadzony przez Mrongowiusza był jednak bardzo nikły. Poważniejsze rezultaty przyniosła dopiero przedsięwzięta z jego inicjatywy przez rosyjskiego uczonego Hilferdinga w r. 1856 podróż naukowa na Kaszubszczyznę, której wyniki zostały opublikowane w pracy pt. *Ostanki Sławian na jużnom bieriegu Bałtijskiego moria*<sup>4)</sup>. Praca ta, przedrukowana w przekładzie niemieckim w *Zeitschrift für Slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft*<sup>5)</sup> (1862—1864), stała się właściwą pobudką do badań naukowych kaszuboznawczych, które odtąd stale postępowały naprzód osiągając imponujące rezultaty.

Długo jednak jeszcze wypadło czekać na przeniknięcie do świadomości szerokiego ogółu faktu, że nad Bałtykiem wciąż utrzymują się w walce z naporem germańskim nasi bracia Kaszubi i Słowińcy.

Wprawdzie publicystyka doby pozytywizmu zwracała uwagę na Pomorze i Bałtyk, ale literatura piękna nie nadążała za nią. Główną przyczyną tego stanu rzeczy było odcięcie Kaszubszczyzny kordonem granicznym od zaboru austriackiego i rosyjskiego, w których rozwijało się bujnie życie literackie, tak bardzo stłumione pod zaborem pruskim. Jednym z pierwszych, którzy przedostali się poza ten kordon, był Felicjan Faleński, autor paru ładnych wierszy o morzu oraz znanego utworu: *Koń Swantewita*. Przykład jego znalazł naśladowców dopiero po paru dziesiątkach lat, tak że literatura ludowa kaszubska z Cenową i Derdowskim<sup>6)</sup> na czele wcześniej doszła do głosu, aniżeli tematy morskie i pomorskie znalazły szersze uwzględ-

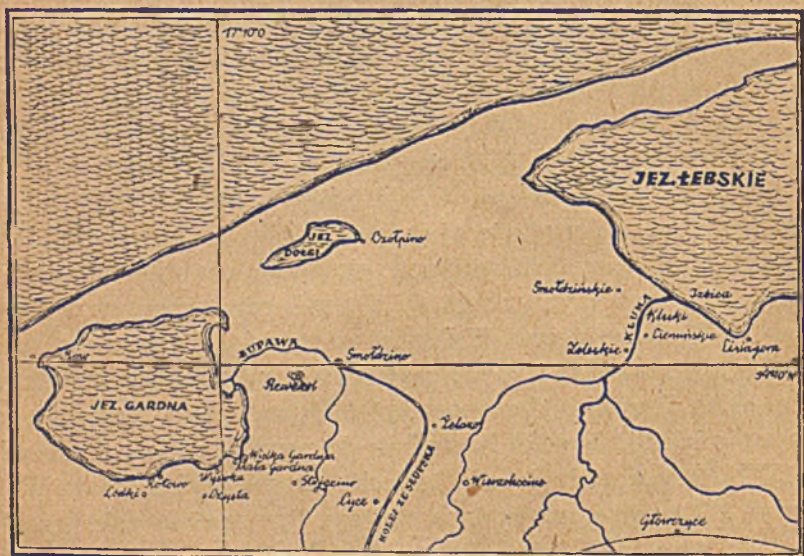


dnienie w beletrystyce i poezji polskiej. Dopiero na przełomie XIX i XX wieku zaczęły wchodzić w modę wyjazdy „Królewaków”, a w mniejszym stopniu „Galicjan” na wywczasy letnie nad Bałtyk (głównie do Sopotu). Wtedy też dotarli na Kaszubszczyznę polscy literaci i publicyści, wśród których rej wodził Adolf Nowaczyński. Ich zainteresowaniem cieszył się przede wszystkim Gdańsk. Deotyma rzuciła na tło siedemnastowiecznego Gdańska akcję *Panienki z okienka* (1893), Wiktor Gomulicki wyśpiewał *Pieśń o Gdańsku* (1900), motywy gdańskie występują też u Marii Konopnickiej i Or-Ota, kaszubskie u Maryli Wolskiej. Rok 1903 przyniósł pierwszą powieść z życia Kaszubów: *Tam gdzie się Wisła kończy* Artura Gruszeckiego. W tym samym mniej więcej czasie zaczął pulsować żywiej ruch literacki na samych Kaszubach, skupiając się w ostatnich latach przedwojennych około *Gryfa*, redagowanego przez Aleksandra Majkowskiego. W Poznańskim działał świetny znawca polskiego wybrzeża i nader zasłużony popularyzator zagadnień morskich Bernard Chrzanowski<sup>7)</sup>. Inspirowany przez niego, wprowadził Sienkiewicz Kaszubów do powieści: *Na polu chwały* (1907), a Żeromski kazał Rozłuckiemu walczyć z falami Bałtyku i kierować wzrok ku brzegom Pomorza w zakończeniu *Urody życia* (1912).

Tak więc w momencie, gdy rozpoczynała się zawierucha dziejowa, która miała nam przynieść po stu kilkudziesięciu latach niewoli niepodległość i przynajmniej skrawek własnego wybrzeża, można już mówić o aktywnym nastawieniu naszego piśmiennictwa do zagadnień morskich. Szkoda tylko, że jeden z największych marynistów świata, Józef Conrad-Korzeniowski, nie interesował się polskim morzem i Pomorzem, lecz oddał swój niepospolity talent całkowicie na usługi obcej literaturze.

Prawie wszystkich wyliczonych wyżej pisarzy drugiej połowy XIX wieku uwzględniających w swej twórczości tematy morskie wyprzedziła Melania Parczewska nowelą: *Nad morzem*, w której uczyniła motywem beletrystycznym dole i niedole Sło-

wińców, wymierającego plemienia słowiańskiego znad jeziora  
Łebskiego w ziemi słupskiej.



Mapka kraju Słowińców

Słowińcy, zamieszkujący przed wiekami rozległe obszary Pomorza Zachodniego, stosunkowo wcześnie, bo już w XII wieku, rozluźnili kontakt z Polską; od tego bowiem czasu (1181) kraj ich był lennym księstwem niemieckim. Za panowania Władysława Jagiełły (1390) ziemia słupska powróciła na krótko do Macierzy, później przez dwieście kilkadziesiąt lat pozostawała pod rządami książąt z dynastii słowiańskiej, lecz coraz bardziej zniemczonych. W tym okresie (w r. 1534) książęta pomorscy, a w ślad za nimi i lud (w myśl zasady: *cuius regio — eius religio*) przyjęli wyznanie luteranckie. Podobnie jak w Polsce, tak u Słowińców reformacja wpłynęła dodatnio na rozwój



piśmiennictwa w języku narodowym; obok kilku zabytków rękopiśmiennych dochowały się z owych czasów dwa druki słowińskie: kancjonał Szymona Krofeyą i przekład katechizmu Lutra pióra Michała Mostnika - Pontana. Język obu tych druków świadczy dobitnie o żywym wówczas poczuciu wspólnoty polsko-słowińskiej. Są one pisane polszczyzną szesnastowieczną przetykaną tylko wyrazami i zwrotami słowińskimi.

W r. 1637 zmarł ostatni potomek rodzimej dynastii, książę Bogusław XIV, a ziemię słupską zagarnął elektor brandenburski. Odtąd germanizacja zaczęła czynić na tym terenie coraz większe postępy. Szybko uległy jej wyższe warstwy społeczne, jedynie lud nie chciał odstąpić od mowy ojców. W okresie pierwszego rozbioru Polski mówiły jeszcze po słowińsku wszystkie wioski między jeziorami Łebskim i Gardno i zwolna tylko poddawały się napierającej zewsząd fali niemieczyny, na czele której kroczyli urzędnicy, pastorzy i nauczyciele niemieccy. Miarą postępów germanizacji mogą być do pewnego stopnia daty milknięcia kazań słowińskich: w r. 1799 w Rowie nad jeziorem Gardno, w r. 1832 w Smoldzinie, w r. 1845 w Wielkiej Gardnej, wreszcie w r. 1888 w kaszubskich Głównyczach. Pozbawionym nabożeństwa w języku ojczystym pozostawała jeszcze możliwość modlenia się z Pontana, ale liczba tych, którzy umieli czytać po słowińsku, topniała z każdym rokiem. Starsze pokolenie wymierało zabierając z sobą modlitewniki do grobu, młodsze, wychowane w szkole niemieckiej, „nie mogło już po słowińsku“.

Wspomniany wyżej Hilferding przepowiadał na podstawie wyników podróży z roku 1856, że najpóźniej za lat 30 mowa słowińska w ziemi słupskiej zamilknie. Przepowiednia jego okazała się jednak zbyt pesymistyczna. Słowińcy — pomimo usilnej i operującej coraz „doskonalszymi“ metodami germanizacji, pomimo zupełnego braku pomocy skądkolwiek — z uporem trwali na straconym posterunku i nie chcieli się wyrzec mowy ojczystej. W dwadzieścia pięć lat po Hilferdingu Alfons Parczewski, brat Melanii, wybitny znawca zagadnienia polskiego

na kresach północnych i zachodnich, odbywszy podróż w te strony naliczył w nich około tysiąca Słowińców, władających swym językiem ojczystym, a na parę lat przed pierwszą wojną światową (1911) językoznawca Mikołaj Rudnicki znalazł ich jeszcze kilkudziesięciu.

Był moment po klęsce Niemiec w r. 1918, gdy zdawało się, że powróci do Polski ten jedyny w swoim rodzaju rezerwat słowiański. Upominał się o to energicznie Parczewski, który wysunął postulat przyłączenia do Rzeczypospolitej Polskiej powiatów lęborskiego, bytowskiego i słupskiego, a ponadto przesunięcia granicy jeszcze dalej na zachód, by gniazdo Bismarcka, Warcin, znalazło się po stronie polskiej. Niestety, w walce o granice zachodnie wypadło Polsce bronić zbyt wielu ważniejszych pozycji, by móc tej sprawie poświęcić uwagę. Nie byłoby się to zresztą na wiele przydało wobec proniemieckiego nastawienia Anglii, które nas przyprawiło o utratę większej części Śląska i Mazur z Warmią, nie mówiąc już o stratach pomniejszych. Ziemia słupska, a nawet bytowska i lęborska pozostały przy Niemczech, a tym samym los garstki Słowińców został przypieczętowany. I oto właśnie w tym okresie, w którym Kaszubi powrócili do Macierzy i w którym nareszcie dokonał się w świadomości społeczeństwa zdecydowany zwrot do morza, znajdując również wyraz w dziełach naukowych oraz pracach publicystycznych i literaturze pięknej, zamilkła ostatecznie mowa słowiańska nad jeziorami Gardno i Łebskim. Józefowi Kisielewskiemu<sup>8)</sup> pragnącemu na krótko przed ponowną wojną dotrzeć w te strony, w których jeszcze żyło wówczas paru starców pamiętnych mowy przodków, zagrodziła drogę ręka niemieckiego żandarma. Uczeni polscy, którzy po wojnie udali się na tereny słowiańskie, zastali już tylko niemal zupełnie wygasłe popioły. Ostatnia władająca językiem słowiańskim staruszka zmarła latem 1945 roku. Młodsze pokolenie, choć do pewnego stopnia świadome swego pochodzenia słowiańskiego, mówi wyłącznie po niemiecku. Ślady znajomości słowiańszczyzny przejawiają się u niego jedynie w terminologii żeglarskiej



i okrucach słownictwa z innych dziedzin życia codziennego. Pokolenie to nie powróci już z pewnością do rodzimego narzecza, lecz zastąpi je w przyszłości polszczyzną. Jest ono zresztą bardzo nieliczne: liczba Słowińców zamieszkających dziś w Polsce nie przekracza kilkudziesięciu rodzin.\*

\* \* \*

Rezultatem wspomnianej wyżej podróży Parczewskiego była praca pt. *Szczątki kaszubskie w prowincji pomorskiej — szkic historyczno-ethnograficzny*, ogłoszona w Poznaniu w r. 1896. Nie ona jednak dostarczyła Melanii Parczewskiej podniety do noweli *Nad morzem*, zamieszczonej w *Kłosach*, następnie zaś przedrukowanej w zbiorze pt. *Obrazki* (Warszawa, 1893), a później w I tomie *Pism* (Wilno, 1932). Autorka oparła się prawdopodobnie na ustnych informacjach, jakich z łatwością mogła zasięgnąć u brata. Od Parczewskiego pochodzi z pewnością nazwisko rodziny rybackiej Schimanków (była taka rodzina w Izbicy nad Jeziorem Łebskim), niektóre dane topograficzne, motyw odmawiania modlitwy w języku ojczystym przez staruszkę - Słowinkę i wrzucania do grobu modlitewnika. Reszta stanowi fikcję literacką autorki.

Akcja noweli rozgrywa się w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku, w każdym razie po r. 1885, bo autorka nawiązuje do ustawy o wydalaniu z obszaru Rzeszy Niemieckiej wszystkich Polaków nieposiadających obywatelstwa niemieckiego, wniesionej w tymże roku przez Bismarcka i uchwalonej przez parlament Rzeszy.

Miejscem akcji jest Rewa<sup>9)</sup>, wioska słowińska, położona na wąskim skrawku lądu między jeziorem Gardno a Bałtykiem. Parczewski nie znał Rewy z autopsji, dlatego też zapewne i w nowelce Melanii Parczewskiej jej opis wypadł blade, nieplastycznie, nie dając należytego wyobrażenia ani o charakterze krajobrazu, ani o wyglądzie wioski i życiu codziennym jej mieszkańców.

Jest to słaba strona noweli, niestety, nie jedyna. Bo — powiedzmy otwarcie — *Nad morzem* jako utwór literacki ma wartość niewielką. Akcja jest wątła, na jej bieg wywierają duży wpływ okoliczności zewnętrzne, sprowadzające się niekiedy do czystej przypadkowości. Przypadek sprawia, że Justus Schimank ratuje z rozbitego okrętu Polaka, którego pojawienie się w jego domostwie ma wywrzeć tak znaczny wpływ na losy staruszki - Słowinki i młodej dziewczyny — Herty. Moment przełomu duchowego u starej Schimankowej nie jest dostatecznie uzasadniony ani psychologicznie, ani artystycznie. Przedstawienie zabiegów Justusa, by wydać Hertę za pruskiego oficera, świadczy o nieznamości stosunków pruskich, w których małżeństwo członka korpusu oficerskiego z córką — choćby nawet bogatego — rybaka było nie do pomyślenia. Postać Grądzkiego ma w sobie za mało życia, czytelnik odnosi wrażenie, że ma on tylko wypełnić — niby *deus ex machina* w tragedii greckiej — zadanie zmażenia normalnego toku życia w chacie Schimanków, a potem — jako niepotrzebny już autorce — znika z opowiadania. Jego przymusowy odjazd z Rewy jest zresztą dostatecznie uzasadniony, ale przez to akcja noweli nie kończy się, nie zamyka, lecz urywa. Dopełni się wprawdzie los starej Schimankowej, ale co będzie z Hertą? Czy pójdzie za głosem krwi słowiańskiej, jaki się w niej — słabo zresztą — odezwał, czy też znów zatone w niemczyźnie? Autorka, jakby sama nie była tego pewna, nie sugeruje czytelnikowi ani jednej, ani drugiej możliwości, psychika Herty jest zbyt słabo zarysowana, by można na jej podstawie snuć na ten temat wnioski...

Również żywioł opisowy w noweli wypadł artystycznie słabo. Zarówno w opisie burzy, jak i w scenie ratowania Grądzkiego przez Schimanka występuje jaskrawo brak znajomości morza. Przedstawiona przez Parczewską nawałnica to rodzaj szkwału, który nie jest dla statków specjalnie niebezpieczny, w przeciwieństwie do inaczej przejawiającego się sztormu<sup>10)</sup>. Inaczej też odbywa się w rzeczywistości ratowanie



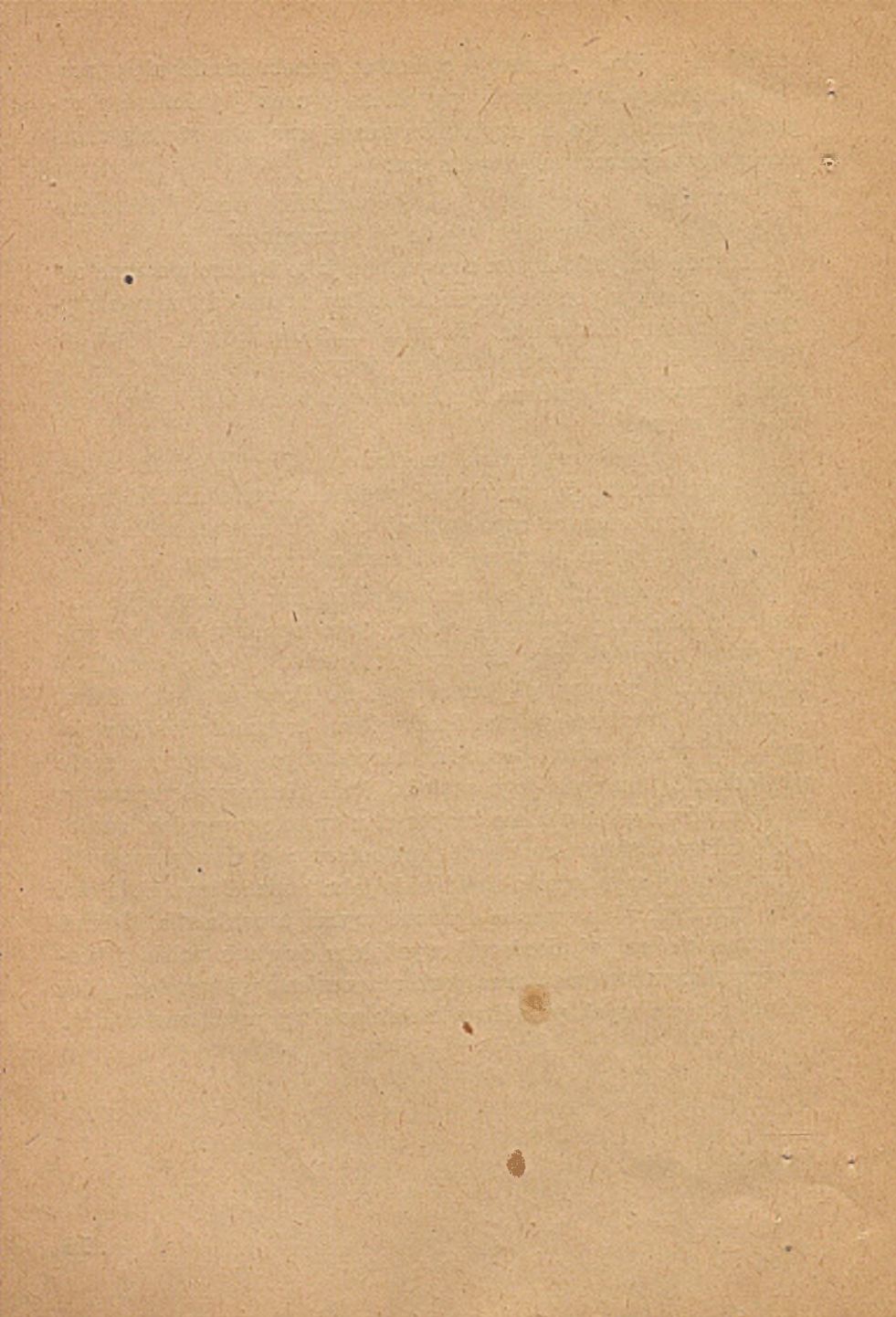
rozbitków. Inne momenty opisowe (przebudzenie się starej Schimankowej z martwoty psychicznej oraz jej śmierć i pogrzeb) przemawiają do czytelnika raczej swą zawartością uczuciową niż walorami artystycznymi.

Na czym wobec tego polega znaczenie noweli Parczewskiej i jakie motywy skłaniają do jej wznowienia?

Przede wszystkim jest ona ważna, jako bardzo wczesne ogniwo w rozwoju polskiej myśli morskiej i tematyki marynistycznej w naszej literaturze. Po wtóre stanowi jedyną — jak do-  
tąd — w piśmiennictwie polskim pozycję poświęconą Słowińcom (w poemacie epickim Derdowskiego jest o nich tylko krótka wzmianka).

*Nad morzem* przypomina tragiczną walkę Słowińców o byt narodowy akcentując możliwość obudzenia świadomości narodowej, a tym samym repolonizacji u tych nawet, którzy już od paru pokoleń ulegli naciskowi germanizacyjnemu.

Z tych względów powinien dostać do rąk tę nowelkę i Słowińiec z Kluk czy Gardnej, skoro tylko opanuje na tyle polszczyznę, by mógł sobie dać radę z tekstem, i jego sąsiad — repatriant, i nauczyciel pracujący na Pomorzu Zachodnim, i wreszcie literat-marynista. Pierwszemu dopomoże lektura noweli do rozbudzenia poczucia narodowego, drugiego może uświadomić, kim są ci jego sąsiedzi, których najczęściej uważa za Niemców i odpowiednio traktuje, u trzeciego pogłębi znajomość terenu i ułatwi mu pracę repolonizacyjną, uwagę ostatniego zwróci na zagadnienie słowińskie jako temat literacki. Poza tym przedruk *Nad morzem* stanowi wyraz uznania dla Melanii Parczewskiej za jej pionierski wysiłek w dziejach polskiej literatury marynistycznej oraz jest uczczeniem jej pamięci jako jednej z pierwszych przedstawicielek polskiej myśli zachodniej.





NAD MORZEM







*Sunt lacrimae rerum* <sup>1)</sup>

Spokojny zazwyczaj Bałtyk huczał wzburzoną falą. Kłęby morskiej piany uderzały z łoskotem o ławy i wydmy piaszczystych wybrzeży. Wicher przeszedłszy całą gamę tonów — od cichych miłosnych szeptów do wrących szaleńców — straszliwe wyprawiał harce. Przeciągłym jego świstem strwożone, mewy z krzykiem zrywały się do lotu. Wśród cieniów nocy lśniące, skropione perlami wody, jak błędne ogniki przesunęły się i końcami rozpacznie otwartych skrzydeł muskały mętną, czarną powierzchnię morza. Skłócone z sobą bałwany wznosiły się, pochłaniały wzajemnie, to znów opadały, aby po chwili z tym większą uderzyć gwałtownością. Piętrząc się w górze uderzały o ciemny, ponury pas nieba, co na dalekim horyzoncie, połączony z morzem, zdawał się tonać w jego zimnych, lodowatych głębinach.

W górnych sferach złowrogi zapanował spokój. Srebrne kręgi księżyca i gwiazd drżących miriady przeczuwając zmiany w królestwie swego panowania schroniły się poza mgły szeregi. Świat niebieski w uśpieniu spoglądał na kipiącą po brzegi czarę morza. Zdawało się, iż wszystkie planety, wykolejone z orbit, zaprzestały odwiecznej swej wędrówki.

Grobowy spokój nieba przerwały nagle dziwne, pełne niewytłumaczonych tajemnic i znaków szelesty. Ustępowała senność chmur. Znudzone głęboką ciszą, obłoki szeptały między sobą. Fale ich porozumiewały się z falami wody, spiskowały

potajemnie. Wściekły podmuch wiatru za jednym dotknięciem zerwał z nich żalobną zasłonę. Błyskawica sygnalizując pierwszy atak przeszyla niebo; piorun za piorunem wstrząsał kłębami piany morskiej. Odgłosy gromów szły o lepsze z ponurym rykiem fali; co chwila otwierały się podwoje niebios, a morze szarpiąc własne łono wilo się w konwulsyjnych skokach.

Na walkę rozpasanych żywiołów spoglądała garstka stojących na wybrzeżu rybaków. Przyzwyczajeni do kaprysów atmosfery i morza, okiem krytyka obserwowali odgrywającą się wśród wód i chmur tragedię. Przeczuwając ją przyspieszali powrót; przed zachodem słońca wszystkie łodzie przybiły do brzegu. Chaty, poruszane wichrem, drżały jak w paroksyzmie febry. Cała ludność małej rybackiej wsi Rewy<sup>2)</sup> wybiegła na brzeg morza, tylko dzieci i starzy pozostali w domach. Przy świetle błyskawic dostrzeżono kołyszące się na falach strzaskane ściany statku.

— To statek kupiecki tonie... ten sam prawdopodobnie, który przed dwiema godzinami wypłynął na pełne morze... — zawołał jeden z rybaków, Justus Schimank, w *Plattdeutsch*,<sup>3)</sup> powszechnie w tej części Pomorza używanym narzeczu.

Statek płynął od Ustki<sup>4)</sup> na północ ku Szwecji; nieprzyjazny wicher pchnął go w przeciwną stronę, ku znanym z niebezpieczeństwa wybrzeżom Rewy. Światło krzyżujących się błyskawic ukazało oderwany tułów statku: sterczał cały w strzępach, bałwany z siłą przelatywały przez niego, jak trzcina kołysał się na wszystkie strony. Gdy wicher przycichł, w powietrzu rozległy się rozpaczliwe jęki tonących. Latarnia morska za słabe rzuciła światło. Wzdłuż wybrzeża rozpalono ogień. Buchnął ku niebiosom słup gorących płomieni. Czarne odłamy statku zarysowały się widoczniej, ujrzano załamane dłonie rozbitków.

Takiej szalonej od dawna nie pamiętano burzy. Mieszkańcy Rewy często spieszyli z pomocą tonącym, lecz dziś obawiali się wyruszyć na pełne morze. Tylko Justus Schimank nie stracił odwagi. Za uratowanie życia rozbitkom otrzymał przed



kilku laty tysiąc marek nagrody. Chwilę tę miał zawsze w pamięci. Bez wahania odczepił pierwszą o brzeg opartą łódkę. Obecni spojrzeli na siebie, nikt jednak nie śmiał czynić mu uwagi; wiedzieli, że drwił zawsze z cudzych przestroóg. Tylko młode dziewczę, jedyna jego córka, Herta, przemówiła z płaczem:

— *Wadder! Wadder!* <sup>6)</sup> proszę cię, nie jedź dzisiaj... morze się tak bałwani!

Justus nie spojrział nawet na córkę i — zanim dziewczyna powtórzyć mogła prośbę — silną dłonią kierowane wiosła odbiły łódź od brzegu.

— O, Boże! Boże! Jezu! Jezu! — wołały strwożone kobiety. Rybacy przyrządy ratunkowe wrzucali do łodzi.

Kołysana bałwanami, poruszała się szybko; wicher w dzikich podskokach unosił ją w górę. Burza dochodziła do szczytu swej potęgi. Cała ściana fantazyjnie ugrupowanych obłoków jak olbrzymia lawina śniegu poruszała się z posad. Gnana wichrem, szalała po niebie. Zdawało się, iż pękły wszystkie arterie ciał niebieskich i powodzią błyskawic rozjaśniły czarną otchłań wody. Pioruny jak burza gorących oklasków posypały się na morze wstrząsając walczącą z bałwanami łódkę. Justus nie słyszał zgrzytu i szumu fal; oczy jego, utkwione w jeden punkt, nie widziały uchylających się za każdym podmuchem wiatru piekielnych czeluści morza. Nagle... drgnął. Jedna część statku wraz z podróżnymi zginęła mu sprzed oczu, zsunęła się w bezdroża Bałtyku. Poniesione trudy i niebezpieczeństwa były daremne. Ciemności otoczyły go dokoła, urągały jego odwadze. Ostatnia błyskawica na pożegnanie rozdarła niebo. Przy jej świetle Justus dostrzegł zawieszoną na drugiej połowie statku jakąś ludzką istotę. Podpłynął ku niej; z niezwykłą odwagą, lewą ręką trzymając się wiosła, prawą zarzucił linę na chwiejące się ściany. Nawoływał rozbitka, lecz ten leżał nieruchomy. Stado strwożonych mew rozpostarło nad nim swoje skrzydła. Justusowi brakło oddechu w piersiach, stanął na łodzi i wspiał się na palce trzymając się rękoma statku. Muskularne jego dłonie opadały za dotknięciem obślizłych kończyn.

Jedna chwila stanowiła o losie obydwóch; schwycił omdlałe ciało rozbitka i z nadludzkim wysiłkiem rzucił je w głąb łodzi.

Odetchnął. Raz jeszcze zahuczały fale, zaryły się głębiej bałwany wody, zimne jej krople ochłodziły rozpalone dłonie i czoło rybaka — potrzebował spoczynku.

Wyczerpana długą walką, burza omdlewała, puls jej uderzały zwolna, fala konającym już tylko szeptała głosem. Harmonia powracała w krainę rozhukanych żywiołów. Wyzwolone z kajdan nawałnicy, nowym oddychały życiem. Księżyc spoza chmur świetlane wychylał koło — i gdy Justus wraz z swoją zdobyczą powrócił na brzeg morza, gniewny przed chwilą Bałtyk kołysał się spokojnie, miarowo, jak łany pszenicznych kłosów, co z dala, na wschód od Rewy, złościły się na polach kaszubskiej ziemi.

Ocalony przez Justusa młody podróżny znalazł przytułek w jego domu. Kim był i dokąd płynął, na razie nie można się było dowiedzieć, gdyż był nieprzytomny. Pieniędzy i papierów przy nim nie znaleziono żadnych.

Justusa gniewała niepewność, komu ocalił życie. W pierwszej chwili, gdy po złożeniu na wybrzeżu jedni otoczyli rozbitka z ciekawości, drudzy — aby nieść mu pomoc, Justus zbliżył się do stojącej z boku córki.

— *Du!* <sup>6)</sup> Herta! głupstwo się stało... nic nam z niego nie przyjdzie; trzeba go oddać do szpitala... Jeszcze gotów umrzeć. Kto go tam wie, co on za jeden...

— Co on za jeden? *Wadder!* ja tobie powiem, kto on jest; oto bardzo nieszczęśliwy i bardzo piękny młody człowiek.

— No, no, Herta! — śmiał się Justus.

— A może to jaki *graf?* <sup>7)</sup> Może jaki *lejtnant?* <sup>8)</sup> Tak, tak, *Wadder.* Weźmy go do siebie, to nie zwyczajny człowiek. Patrz tylko, jaki on piękny! — mówiła spoglądając z zajęciem na rozbitka, którego pulsa badał sprowadzony na wybrzeże felczer wojskowy.

Justus inne miał w tym względzie zdanie. Podróżny był dla niego o tyle piękny, o ile przedstawiał materialne korzyści;



w przeciwnym razie był zawadą, niepotrzebnym sprzętem, którego nie myślał zabierać z sobą.

Justus Schimank był najbogatszym w całej wsi rybakiem. Dom jego, murowany, wyróżniał się wśród innych chat rybackich. Urządzony starannie, świadczył o zamożności mieszkańców.

Justus, skąpy, oszczędny, dla jedynaczki, Herty, nie żałował nigdy pieniędzy. Gdy skończyła szkołkę elementarną w Rewie, oddał ją jeszcze do wyższej szkoły w Ustce. To jednak nie przeszkadzało, że wróciwszy do domu, zwyczajem innych rybaczek, Herta prała, gotowała, a w długie zimowe wieczory naprawiała podarte sieci. Ojciec jej był powagą rybackiej druzyny nie tylko w Rewie, ale i na całym pobrzeżu, poczynawszy od portu uestckiego aż do brzegów darłowskich.<sup>9)</sup> I dalej nawet, na Rugii, znana była sława Justusa jako rybaka.

Zwycięzca spod Gravelotte<sup>10)</sup>, człowiek, któremu sam feldmarszałek Moltke<sup>11)</sup> przypiął krzyż wojskowy, imponował odwagą, bogactwem i rozumem. Przed wojną był on tylko sprytnym i zręcznym rybakiem, jak na swój stan dość nawet inteligentnym, któremu morze i połów ryb wypełniały życie. Nowe cesarstwo<sup>12)</sup> obudziło w nim uczucie narodowe. Berlin, skąpany w chwale zwycięstw, olśniewał go. Z chwilą zwycięstwa Justus przerobił się w patriotę-żołnierza, polityka, dla którego poza cesarstwem świat przestał nawet istnieć. Gdy kanclerz<sup>13)</sup> przyjeżdżał do Warcina<sup>14)</sup>, on na czele deputacji rybaków witał go w letniej rezydencji, urządzał dalekie na morze wyprawy, kierował w Rewie wyborami, słowem — był duszą wszystkich rybaków. Szorstki, gwałtowny, ulegał jedynie wpływowi swej jedynaczki, Herty. Gdyby też nie ona, której zlecenia spełniał zawsze z ochotą, rozbitek byłby pomieszczony w szpitalu.

Za jej interwencją przeniesiono go do murowanego domu rybaka. Justus, uspokojony zapewnieniem felczera, iż rozbitek może przyjść do siebie, a długie omdlenie jest tylko wynikiem zmęczenia i przebytych wrażeń, pozwolił złożyć go na sofie w pokoju matki. *Frau Schimank*,<sup>15)</sup> jak wszyscy nazywali mat-

kę Justusa, była najstarszym mieszkańcem Rewy. Od dwudziestu lat sparaliżowana na nogi, nie opuszczała nigdy pokoju i okna, z którego daleki na morze rozlegał się widok. Dawne, bardzo dawne pamiętała czasy; przeszło dziewięćdziesiąt kilka lat liczylu jej wszyscy. We wsi szanowano ją powszechnie; poza jej granice nie wydalała się nigdy, nawet wówczas, gdy młodą i zdrową była jeszcze.

Stara Schimankowa przeżyła wiele zmian i nieszczęść. Burze życia nie oszczędziły jej. Jako ośmioletnie dziecko patrzyła już na straszną śmierć ojca, którego spieniony Bałtyk pochłoniął w swoich falach. W kilka dni później straciła matkę; młoda jeszcze była, gdy pogrzebała męża, kilkoro dzieci, na koniec synową i wnuczęta. Cały świat dla niej był już tylko mogiłą. Przebyte cierpienia, straty, a w końcu i kalectwo, osłabiły jej władze umysłowe. Serce przestało odczuwać łyzy i uśmiechy ludzkie. Z obojętnością spoglądała na toczącą się dokoła walkę. Rzeczywistość jak mgła rozwiała się przed jej oczyma. Siedząc w fotelu, bezmyślnie zawsze odpowiadała na zadawane sobie pytania. W chwili gdy chorego wnieśli do pokoju, drzemała jak zwykle; nie zwróciła nawet uwagi na zamieszanie wywołane pojawieniem się rozbitka.

Gdy złożono go na sofie i otulono stosem kołder i poduszek, Herta za ojcem wsunęła się do pokoju.

— Ty, *Wadder*, pewnie jesteś zmęczony — przymilała się dziewczyna — a ja chciałam cię prosić, abyś do rana posiedział przy chorym. Może czego potrzebować, może zawoła, przebudzi się.

Ojciec pogroził jej z uśmiechem.

— A może to jaki włóczęga?

— Ależ, *Wadder*! to pewnie jaki wielki pan, może lord angielski.

— No! no! *Liebchen!*<sup>16)</sup> pan czy włóczęga, kiedy ty chcesz, to już stary *Wadder* będzie go pilnował.

Herta w *Buch für alle*<sup>17)</sup> czytała powieść, której bohater, bogaty magnat angielski, uratowany przez rybaka, ożenił się



z jego piękną córką. Przez asocjację <sup>18)</sup> myśli fantazja młodej, wrażliwej a rozmarzonej świeżą przygodą dziewczyny czarowne na ten temat snuła obrazy. Znalazłszy się w swoim pokoiku, nawet na chwilę nie mogła zasnąć, z niecierpliwością oczekiwała ranka. Z pierwszym brzaskiem słońca, spiesźnie przyrządziwszy ojcu śniadanie, z filiżanką kawy zapukała do pokoju babki. Wszedłszy na wezwanie, spojrzała na chorego; zdawało jej się, że drgnął, że spieczoną gorączką usta poruszały się zwolna. Pobladła. Ojciec chciał przemówić — ruchem ręki dała znak, aby milczał. Widząc, z jaką uwagą Herta wpatruje się w chorego, miał szczerą chęć wyrzucić go za drzwi; lecz ta blada, nieruchoma postać dziwnym przejmowała go strachem — nie śmiał wyrządzić jej krzywdy. Coraz głębsza cisza zapadała w mieszkaniu. Zdawało się, że od morza dobiegał szmer podwodnych roślin. Chory poruszył się, a usta, szczelnie dotąd przymknięte pieczęcią niemocy, szeptały z cicha:

— Boże! Boże!

Z piersi Herty wydarł się stłumiony okrzyk. Justus stanął przy chorym.

— *Wadder!* co on mówi? co on powiedział? — pytała topiąc przenikliwe w ojca spojrzenie.

— Boże! Boże! Matko! — powtarzał urywanym głosem młodzienc.

Słowa jego, wymawiane po polsku, niezrozumiałe dla obecnych, odbijały się pustym echem o ściany domu.

Fale Bałtyku zajęczały głośniejsz, powiew wiatru, co z dala, od żuław <sup>19)</sup> nadwiślańskich, wpływał przez otwarte okna, zbudził starą Schimankową.

— Ojcze! Czy ty rozumiesz, co on mówi? Może on umiera? Jeśli on umrze, Herta twoja zmartwi się bardzo! — zarzucała ojca pytaniami dziewczyna.

— *Du*, Herta! Nie martw się; poczekaj, ja go się zapytam; ja już zrozumiem, co on mówi, tylko ty nie płacz — uspokajał ją i głaskał po twarzy. On w tej chwili gotów był

nawet zrobić jaką ofiarę, byle tylko zrozumieć choć jeden wyraz mogący uspokoić Hertę.

Chory po długim omdleniu zwolna odzyskiwał przytomność, lecz w osłabionym jego umyśle przesuwaly się jeszcze straszne przebytych cierpień obrazy. Cała groza burzy stanęła mu przed oczyma. Podnosząc w górę ręce odpychał otaczające go zdradziecką siecią bałwany morskie, wzywał pomocy nieba, matki, żegnał rodzinną ziemię, w końcu, jakby wyczerpany walką, spokojny wobec majestatu śmierci, począł odmawiać pacierz.

Każde jego słowo budziło z moralnego uśpienia starą Schimankową. Po twarzy pooranej zmarszczkami, pergaminowo-żółtej dziwne przebiegały błyski. Oczy bezmyślne nabierały życia, odbijało się w nich światło tlejące w ukrytych głębinach duszy. Umysł, zamroczony pyłem wieku, nabierał giętkości, rozszerzały się skurczone nerwy. Mgła przyćmiewająca pamięć roztopiała się pod wpływem promieni, które jak prąd ożywczych iskiei napływały do jej serca i mózgu. Stara, pomarszczona Schimankowa odżyła; na twarz występowały rumieńce; jakaś niewidzialna dłoń, jakaś niezrozumiała dla niej potęga unosiła ją z miejsca powracając dawno utraconą młodość i zdrowie. Zerwała się z krzesła, wyciągnęła dłonie i wspólnie z chorym poczęła odmawiać pacierz.

Justus oniemiał z przerażenia. Atletyczna jego postawa, kształtami przypominająca rasę perszeronów<sup>20)</sup>, drżała jak drobne listki kwiatu. Patrzył na matkę, ale nie wiedział, czy stojąca przy chorym kobieta jest rzeczywiście jego sparaliżowaną, bezwładną matką. Stracił świadomość swojej osoby, czuł tylko, iż stało się coś nadzwyczajnego, co przewrót wywołało w umyśle matki. Zdawało się mu, że do Hertę podchodzą czarne, złowrogie postacie i zabierają jego jedyne, ukochane dziecko, że o śmierć lub życie rozpoczynają z nim walkę. Podniósł obie ręce, jakby za jednym uderzeniem zabić chciał człowieka, który swoim przybyciem takie zmiany wywołał w spokojnym dotąd ich życiu.



Stara Schimankowa spojrzała na syna, a gdy ich oczy zbiegły się razem, Justusowi opadły ręce. Wzrok matki przykuł go na miejscu, takiego wyrazu nigdy jeszcze nie widział w jej twarzy.

— Justus! Ty, Justus! Nie śmiej zrobić mu krzywdy! Jego mowa to jakby ojców moich mowa. Tam na morzu, gdy ojciec tonął, matka taki sam pacierz mówiła ze mną. Justus, tyś tego nie słyszał, nie widział...! Dziewięćdziesiąt lat takiego nie słyszałam pacierza... dziewięćdziesiąt lat, a może i więcej... dziewięćdziesiąt... dziewięćdziesiąt — powtarzała Schimankowa wywołując słowami swymi osłupienie Justusa.

Coś nieziemskiego biło z jej twarzy. Drobną, wątłą, potęgą ducha górowała nad olbrzymią postawą syna.

— Kto on jest? Bóg, szatan czy człowiek? — zadawał sobie pytanie Justus tuląc drżącą z przerażenia córkę.

Rozbitek odzyskiwał przytomność; siła młodości powracała mu ją szybko. Przypominał sobie doznane przejścia; pacierz powtarzany nad nim przez starą Schimankową zwrócił jego uwagę; zadał kilka pytań Justusowi, lecz ten uparcie milczał. Herta w urywanych słowach wyręczyła ojca.

— Kto ty jesteś? — zapytał Justus podchodząc do rozbitka.

— Polak — brzmiała odpowiedź.

— *Polake! Polake!* — krzyknął przeszywającym głosem rybak. — Kto ty jesteś? — niepewny, czy dobrze zrozumiał, powtórzył raz jeszcze pytanie.

— Polak, Stanisław Grądzki — wybiegło z ust chorego.

Wtedy on z grona wszystkich, co owej pamiętnej nocy tonęli na morzu, uratował życie Polakowi? On, który ich tak nienawidził, że z rozkoszą patrzyłby na śmierć wszystkich. Justusowi na tę myśl cały świat rozpoczął szalony taniec: lądy, góry i morze w piekielny zwały się chaos. Ten rozbitek, Polak, to gadzina, którą on co prędzej wyrzuci z domu.

— Precz! — zawołał podnosząc głos ochrypły z gniewu.

— *Wadder!* ja tego nie chcę, nie pozwolę! — wyrzekła milcząca dotąd Herta. — *Wadder!* Ty tego zrobić nie możesz!

— Justus! nie śmiej go wypędzać! Jego mowa to jakby ojców moich mowa. Dawno, bardzo dawno, gdy w Rewie inni mieszkali ludzie, pastor Zakrow<sup>21)</sup> takie prawił nam kazania, matka takich uczyła mnie pieśni. O! Justus! dawne, dobre czasy! Stara Schimankowa była mała, ale te pieśni dziś jeszcze pamięta dobrze... Justus! matka twoja nie umie tej mowy... ale jej nie zapomni nigdy... Matka twoja może już teraz umrzeć spokojnie — kończyła ze łzami składając ręce jak do modlitwy.

Justus płaczącej nie widział jeszcze matki. I jego ogarnęło wzruszenie. Przytoczone przez nią wspomnienia były mu obce. Po raz pierwszy w życiu opowiadała o nich matka. W całej Rewie nikt ich nie pamiętał, chyba w sennych marzeniach przypominali sobie ludzie, że w Rewie niegdyś innym niż *Plattdeutsch* mówiono językiem. Cała ta przeszłość zgasła, zamarła na wieki! Tymczasem zjawienie się rozbitka, jedno jego słowo, jeden pacierz przywraca ją i ożywia. W domu Justusa działy się rzeczy, na myśl o których oburzał się patriotyzm pruski... Więc matka była z pochodzenia Kaszubką! A on tak brzydził się tą garstką sąsiadów, tak uciekał od nich, gdy na falach Bałtyku łodzie ich spotkały się kiedy przypadkiem!

— O! jak to dobrze, że w całej Rewie nikt o tym nie wie — rozmyślał zgnębiony Justus.

Herta nie rozumiała uczuć, jakie jednocześnie wstrząsały matką i synem, lecz widząc przytomność umysłu bezsilnej dotąd kobiety, przejęta, wzruszona, z uwielbieniem spoglądała na rozbitka, sprawcę tylu odmian. Omdlewającą nieomal pod wpływem przebytych wrażeń ojciec wyprowadził z pokoju.

Około południa cała Rewa wiedziała już o wyzdrowieniu starej Schimankowej. Jedni mówili, iż ocalony przez Justusa rozbitek był sławnym lekarzem — drudzy znów, że bogatym hrabią, który przez wdzięczność postanowił ożenić się z Hertą.



Słowem, fantazja zadowolonych rybaków pracowała nad rozwiązaniem zagadki. Ciekawsi przyszli nawet oglądać i podziwiać Schimankową, lecz Justus nie wpuszczał nikogo, utrzymywał, że matka za bardzo jest osłabiona. Właściwie lękał się, aby przed kim nie wyjawiała strasznej, poniżającej go, jak sądził, tajemnicy.

Nienawidził rozbitka, zabronił córce z nim rozmawiać, postanowił co prędzej pozbyć się go z domu; a jednak z pewnym rodzajem zadowolenia wysłuchiwał jego podziękowań za uratowanie mu życia.

Zły był na siebie, na matkę, a przede wszystkim na Hertę, że wciąż tylko opowiadała o rozbitku.

— Głupia dziewczyna — myślał — żałując w duszy podjętych trudów i starań.

Nazajutrz była niedziela, dzień wypoczynku dla Rewian, a dla Hertę najpiękniejszy z całego tygodnia.

Zazwyczaj w niedzielę płynęła z ojcem do Ustki na spacer, gdzie w ogródku, nad morzem, spędzali poobiednie godziny. Herta lubiła niedzielne wycieczki do miasta. Świat wioskowy nie wystarczał jej. Wydelikaczone pobytem w Ustce, wśród innego otoczenia, nerwy drażniło towarzystwo rybackich rodzin. W mieście miała dużo znajomych i koleżanek. Siedząc z ojcem w ogródku z przyjemnością spędziła niejedną chwilę na gawędce z żonami i córkami oficerów lub miejscowych urzędników. Gdy, modnie ubrana, przechadzała się po wybrzeżu, ojciec z dumą spoglądał na nią. Zwykle końca tygodnia nie mogła cierpliwie doczekać, tak długimi wydawały się jej godziny poprzedzające każdą niedzielę. Zawsze jaką świeżą kokardkę lub kwiatek chowała na ten dzień, najmilszy z całego tygodnia. Gospodarując w domu marzyła o przyjemnościach świątecznych wycieczek.

W Ustce, nad morzem, było tak uroczo. Muzyka wojskowa grała walce Straussa; oficerowie pośpiewując brząkali kufkami piwa. Światło lampionów odbijało się w wodzie, pluskały wiosła, statki dymiły, huczały parą, a Herta, uśmiechnięta,

szczęśliwa, przymykając błyszczące oczy poła się rozkosznymi marzeniami. Właściciele pięknych, ze złotymi guzikami mundurów główną odgrywali w nich rolę. Marzenia Schimanka w tymże samym krążyły kole. Córka jego tylko żoną pruskiego oficera być mogła. Dla urzeczywistnienia swoich planów oddał ją na pensję; dzień i noc jak wół w jarzmie pracował. Burze i zawieje nie spędzały go z łodzi, ratował tonących, puszczał się na dalekie i niebezpieczne wyprawy, aby tylko piękna Herta, córka bogatego rybaka, mogła zostać żoną pruskiego oficera.

Herta podobała się ogólnie. Gdy w niedzielę łódź Justusa dobiegała do brzegu, przy wysiadaniu zawsze który ze spacerujących oficerów podawał jej rękę — dziewczę było u szczytu szczęścia. Dziś jednak nadzieja wycieczki nie nęciła jej wcale. Gniewało ją, że ojciec, gdy rozbitek przyszedł do siebie, zamiast oddać mu najładniejszy pokój, umieścił go wraz z rybakami na górze. Rano posłała mu śniadanie i co chwila wyglądała oknem, czy nie zobaczy go przed domem. Postanowiła koniecznie widzieć się i rozmawiać z nim. W tym celu pierwsza wyszła na dziedziniec. Ojciec spotkał ją na progu.

— No! Herta? pojedziemy na spacer? Fryc Varnow oczekuje nas z niecierpliwością.

— A cóż mnie to obchodzi? — odparła lekceważącym tonem Herta.

Ojciec spojrzał, zdziwiony.

Fryc Varnow, przystojny, młody oficer, był ideałem us-teckich Niemców. Hertę wyróżniał z grona wszystkich. Dawniej prześladowania ojca przyjemność jej sprawiały; dziś porażało ją przypomnienie poobiedniej wycieczki.

— Czy ty nie myślisz jechać? — powtórnie zagadnął córkę Justus.

— Nie pojedę...

Herta, pieścizna, samowolna, kaprysowała często. Justus sądził, że to zwyczajny manewr jedynaczki, poza którym kryją się kobiecej strategii plany.



— Herta! Herta! Tobie znów coś w głowie się kręci!

Dziewczyna śmiechem odpowiedziała ojcu i śpiesznie podążyła w stronę morza. Z daleka spostrzegła rozbitka. Pierwsza zbliżyła się do niego. Grądzki powitał ją uprzejmie.

— Jeszcze wczoraj chciałem pani podziękować za wszystko dobre, czego doznałem w ich domu; lecz, jak widzę, ojciec pani ze względu na moją narodowość zabrania pani mówić ze mną; dzisiaj chcę opuścić Rewę.

Herta zbladła.

— Pan nie pojedzie — przemówiła z cicha — ojciec się już nie gniewa... Babcia...

— A pani? — przerwał jej Grądzki.

— I ja także — odparła kłaniając się z uśmiechem.

Naiwna, serdeczna Herta wraz ze starą Schimankową dając go swoją opieką miłe na Grądzkim robiły wrażenie.

— Więc dziś zostanę, ale jutro, pojutrze rozstać się musimy, dobra panno Herto!

Herta z zajęciem wpatrzyła się w niego; zauważyła, iż takich jak jego oczów nie widziała jeszcze u nikogo. Stali oboje nad morzem; promienie słońca kąpały się w jego głębinach. Ukwiecone wzorzystą grą kolorów światła, stroiło się w godowe szaty. Wzrok Herty tonął w dalekiej przestrzeni morza. Bezgraniczny jego obszar nie trwożył już jej dzisiaj. Najmniejszą łodzią puściłaby się bez obawy, byle tylko piękny Polak — jak w myśli nazywała Grądzkiego — popłynął z nią razem.

— Ach, jak tu pięknie! — wyrwał się z jej piersi okrzyk.

— Gdyby nie ojciec pani, byłbym spoczywał dzisiaj na dnie Bałtyku — przemówił Grądzki.

Na te słowa Herta z właściwą sobie żywością i naiwnością opisywała odwagę ojca, sławiła jego cnoty jako żołnierza, malowała swój i rybaków przestach, gdy wypłynął owej pamiętnej burzy, oraz straszne wrażenie wywołane dziwnym wyleczeniem babki. Z niewymownym zajęciem dopytywała się także o losy Grądzkiego. Ubolewała nad okolicznościami, które go

zmusiły do opuszczenia domu i rodziny, dla której był całą podporą, a tym samym skazały go na smutną dolę.

Herta nie wszystko rozumiała, co jej opowiadał rozbitek, czuła tylko, iż mówi inaczej od znanych jej dotąd w Ustce młodzieńców. Ci rozmawiali z nią o tańcach, spacerach, piwie, koniach i kartach; śmiali się i żartowali. Ten opowiadał jej o swych stronach rodzinnych i o rodzinie, a mówiąc to, miał głos taki dziwny, że Herta napawała się jego brzmieniem jakby pięknej muzyki dźwiękami, przekonana, że takiego głosu nigdy jeszcze nie słyszała.

Była też mocno rozżalona na ojca, że ją odwołał z wybrzeża i że przerwał miłą z pięknym rozbitkiem rozmowę.

Justus Schimank dawno nie był tak zdziwiony, jak owej chwili, gdy z przygotowaną do odjazdu łodzią nadaremnie oczekiwał na Hertę. Sądził, że gdy nadejdzie godzina odjazdu, wszystkie kaprysy pierzchną.

— Jak to, nie jedziesz? — pytał zobaczywszy córkę nie przygotowaną do wyjazdu.

— Nie.

— A przecież tam wszyscy czekają; Fryc Varnow...

— A niech czekają, nie tylko Fryc, ale i cały sztab oficerów. Może ojciec pojedzie. Mnie w domu najmilej — zarumieniała się Herta na myśl o pokusie, która ją zatrzymała w domu.

— Kiedy ty nie jedziesz, to i ja zostanę — odparł Justus.

Nie mógł pojąć postępowania Herty. Nawet na chwilę nie przypuszczał, aby zainteresowanie się rozbitkiem było powodem zmiany dotychczasowych zwyczajów. Na nim wszystkie kobiety, tak najpiękniejsze, jak i w przydeptanych pantoflach drepająca Frieda, z którą ożenił się przed laty, nigdy żadnego nie robiły wrażenia. Ożenił się, gdyż potrzebował gospodyni; a kiedy umarła, w parę dni po pogrzebie zapomniał, że z domu wynieśli zwłoki kobiety, która przez kilka lat z wiernością psa spełniała wszystkie jego zlecenia.



Justus wierzył tylko w potęgę złota i armii pruskiej.

Herta, wychowana w podobnych zasadach, czyż mogła mieć inne zdanie?

— Co to jest, że nie chce płynąć do Ustki? — rozważał obserwując spacerującą po wybrzeżu córkę.

Herta stanęła nad morzem. Nie po raz pierwszy patrzyła na jego fale. Wieczny, nieustanny szum nudził ją. Piaszczyste wydmy i ławy rzeźbione nurtami wody zwykle smutne na niej robiły wrażenie. Tu nie było kwiatów ani roślin cieplarnianych, które, ustawione pod werandą na wybrzeżu w Ustce, nęciły ją swoim zapachem.

Tam pęki róż i lilii białych kielichy drżały od tonów muzyki wojskowej. Cały jednak ten świat z Varnowem na czele zginał jej sprzed oczu. Wybrzeże było puste; rybacy korzystając z niedzieli wypoczywali w chatach. Sierpniowe słońce chyliło się ku zachodowi, a Herta sądziła, że to wiosna wraca, że w miejsce drobnego wrzосу, co rósł na wzgórku za ich domem, pękają pierwiosnki i śnieżne konwalie, że pustka i jednostajność widoków w Rewie jest piękniejsza od wszystkich przyjemności, co ją nadaremnie oczekiwały w Ustce. Po raz pierwszy nie nudziła jej cisza i spokój wioski. Czuła, że od chwili, gdy zjawił się w Rewie rozbitek, życie inny dla niej przybrało urok. Z radością spostrzegła, że zbliża się; cały pęk świeżo zerwanego wrzосу, zmieszana, wypuściła z dłoni.

— Moje biedne kwiateczki — pomyślała — uwiję z was dla niego wianek.

Dobierała listki, wiązała najpiękniejsze kolory umiejętnie przekładając je gałązkami sośniny.

— Patrz pan, jaki piękny! — mówiła podając Grądzkiemu wianek.

— Dostanę go na pamiątkę. Prawda, panno Herto? Będzie mi przypominał jej dobroć dla rozbitka.

Herta zarumieniła się, lży stanęły jej w oczach; chciała mówić — słów jej zabrakło.

— Jutro muszę wyjeżdżać; tak beczynn timer życia pędzić nie mogę. Gdyby nawet ojciec pani przyjął mnie za towarzysza swoich wypraw, inne okoliczności dziś czy jutro zmuszą mnie do opuszczenia granic cesarstwa niemieckiego — przerwał milczenie Grądzki.

— W Rewie tak dobrze, tak pięknie! — zachęcała go Herta. — Pan zostanie z nami... ja tutaj jestem tak szczęśliwa! — dodała z westchnieniem.

W samej rzeczy, była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Jej wesoły humor udzielał się i Grądzkiemu; nawet Justus, zwabiony śmiechem Herty, przybył na wzgórek i do wspólnej wmieszał się gawędki. W toku jej zapomniał o plemiennej nienawiści, co więcej, nawet zgodził się wziąć z sobą Grądzkiego na wielką, w dniu następnym odbyć się mającą wyprawę.

Nazajutrz od samego rana szykowano się do drogi. Wyprawa miała potrwać dni kilka, aż do brzegów Rugii postanowił dopłynąć Justus. Przygotowane łodzie czekały na wybrzeżu, jeden z młodszych rybaków uderzał wiosłami; pobudką tą wzywał uczestników wyprawy. W południe wspólnie z kupieckim statkiem „Germania”, który raz na miesiąc zatrzymywał się w Rewie, postanowiono wypłynąć na pełne morze. Wszystko sprzyjało podróży: morze spokojne, ciche, jakby nigdy żadnych ofiar nie pochłonięło w swoich falach, powietrze świeże i czyste. Cała wioska była w ruchu.

W domu Justusa również wrzało życie: Herta zapasy żywności układała w kosze, szczęśliwa z udziału Grądzkiego; przeczuwała, że w podróży będzie miała pomocą ojcu i że wspólna połączy ich przyjaźń. Nawet stara Schimankowa z zajęciem spoglądała na czynione przygotowania do drogi.

Co chwila tubalny głos Justusa nowe wydawał rozkazy. Niemale jednak ogarnęło go zdziwienie na widok spieszących ku niemu dwóch policjantów z komisarzem na czele. Byli to goście obcy dotąd w jego domu. Znał ich dobrze, lecz gdy uroczyście, urzędowo zjawili się w progach, Justus zbladł.



— *Herr Schimank!* — przemówił komisarz — u was jest Polak dotknięty prawem wydalenia...<sup>2)</sup> Musi natychmiast opuścić Rewę... nielegalnie u was przebywa...

— Polak? rozbitek... Niech jedzie! weźcie go! On... Polak? Tak dobrze mówi po niemiecku... nie wiedziałem... — mieszał się, przerażony nielegalnością swego postępowania, Justus.

— Cała wieś tylko o nim mówi. Nawet do mnie do Ustki doszły wiadomości o dziwnym uzdrowieniu waszej matki. To ten?... — dodał komisarz obejmując wzrokiem wchodzącego. — Jesteście Polak? — zapytał Grądzkiego.

— Tak, Polak.

— Macie rozkaz natychmiastowego opuszczenia Rewy. W granicach cesarstwa niemieckiego nie wolno wam przebywać.

— Wiem o tym... Burza zatrzymała mnie tutaj.

— Tylko do godziny pierwszej wolno się zatrzymać. Wraz ze statkiem „Germania” trzeba opuścić Rewę; ja dopilnuję tego... — zdecydował pan komisarz.

— Mnie nie potrzeba pilnować... — odparł wyniosłe Grądzki.

Herta, słysząc rozmowę, gdy przedstawiciele władzy wyszli, zaniepokojona, wbiegła do pokoju.

— Co to jest, *Wadder*?

— Co? Oto rozbitek musi natychmiast wyjeżdżać. On nielegalnie przebywa w naszym domu. Ja, Justus Schimank, popelniam bezprawie! Czy ty rozumiesz to, Herta?

Szalona rozpacz kryła się w tych słowach.

— *Wadder!* on nie może jechać... Ty go zatrzymaj. *Wadder!* gdy on pojedzie, Herta twoja umrze... Herta go kocha... — dodała z cicha dziewczyna.

Justus oniemiał na te słowa. Przepaść ukazała się jego oczom. Jak to? Herta, jego córka, przyszła żona pruskiego

oficera, pokochała rozbitka, włóczęgę! Taka kombinacja uczuć zabijała go; czuł, iż ziemia usuwa mu się spod nóg.

Herta nie знаła się na polityce — narodowość była jej obojętna; pokochała Grądzkiego i ten droższym jej był nad wszystkich. Widząc przerażenie i ból ojca na wieść o jej miłości, tuliła się do niego, całowała, pieścizotami chciała gniew rozbroić jak wówczas, gdy dzieckiem była, a on na jej rozkazy tańczył, śpiewał lub dobosza odgrywał rolę. Sądziła, że w jego rękach spoczywają losy jej pierwszej, jedynej miłości.

— Justus! Nie śmiej wypędzać... To taki sierota, jak i matka twoja... — wyrzekła stara Schimankowa podnosząc się z krzesła.

Stała przed Grądzkim, własną zasłoniła go piersią.

— Nie jedź... nie... — prosiła Herta. — *Wadder!* zatrzymaj go! zatrzymaj! Herta twoja umrze... — powtarzała ze łzami.

— Bóg mnie już chyba opuścił... — szeptał złamanym głosem Justus.

Zapomniał o wzgardzie i nienawiści plemiennej. Patrząc na łzy córki gotów był oddać cały majątek, życie nawet swoje, byle tylko rozbitek pozostał w domu i obecnością swoją przywrócił Hercie spokój. Lecz znał surowość prawa, wiedział, że o jego wyroki łamie się i rozbija wszystko.

Czas odjazdu nadszedł. Policjanci weszli do mieszkania; na ich widok Herta załkała głośno.

Grądzki z rozrzewnieniem uściśnął dłoń płaczącej Herty. I jemu sprawiało ból rozstanie z tą dobrą, serdeczną Hertą, która z taką wiarą oddawała mu pierwszą miłość swoją.

— Herto! ja nie zapomnę nigdy twej dobroci. To nie ojciec twój, lecz prawo wypędza mnie z granic Rewy. Bądź zdrowa i szczęśliwa... dobra panno Herto!

On nie czuł się już tak obcy w domu, w którym mowa jego przywróciła zdrowie starej Justusa matce. Ta kobieta, obca dotąd, przyznaje się do wspólnej z nim przeszłości. Ziemia, po



której stapał, była jakby swoją. Zdawało mu się, że zmarli mieszkańcy Rewy, o których wspomniała Schimankowa, dziękują mu, iż odwiedził ich groby, że znów ponad brzegiem morza odezwały się dźwięki dawnych Pomorzan mowy.

Chwilę pożegnania mącił dobiegający od przystani gwar zmieszanych głosów. Spienione bałwany uderzały z łoskotem. Zadzwoniono na sygnał i ciężka, przemocą wrzynająca się w piaszczyste ławy „Germania” stanęła u brzegu w chwili, gdy rozbitek po raz ostatni żegnał rodzinę Schimanków.

Na poprzedniej stacji zachorował palacz. Grądzki, skończony technik, pozbawiony na dalszą drogę funduszków, przyjął na statku obowiązki palacza.

Oparty o komin, z którego wionęły słupy iskier i dymu, wzrokiem żegnał stojących nad brzegiem morza. Herta drżała i płakała głośno. Statek, na pokładzie którego uwijali się podróżni, zabierał całe jej szczęście.

— Już ja dzisiaj nie pokocham innego... żadnego lejtnanta nie chcę mieć za męża... — skarżyła się biedna; a gdy kończyły statku znikły na dalekim horyzoncie, z krzykiem padła w objęcia ojca.

Justus Schimank nie lękał się śmierci. W czasie wojny z zimną krwią spoglądał na tysiące poległych, z tą samą zimną krwią rzucał się w odmęt burzy morskiej; lecz na widok łez ukochanej córki płakał jak dziecko. Pocieszał ją, pieścił, obiecywał zawieźć do Berlina, kupić najpiękniejsze stroje — wszystko było daremnym. Herta na wspomnienie rozbitka zalewała się łzami.

Dla niej Justus pracował i zbierał pieniądze, chciał ją widzieć bogatą, szczęśliwą, żoną pruskiego oficera — tymczasem Herta pokochała włóczęgę! Na tę myśl serce pękało mu z bólu.

Stara Schimankowa nie widziała łez wnuczki i rozpaczy syna. Dusza stuletniej blisko kobiety w innym przebywała świecie. Pękały kamienne płyty starych grobów, spoza obsłony

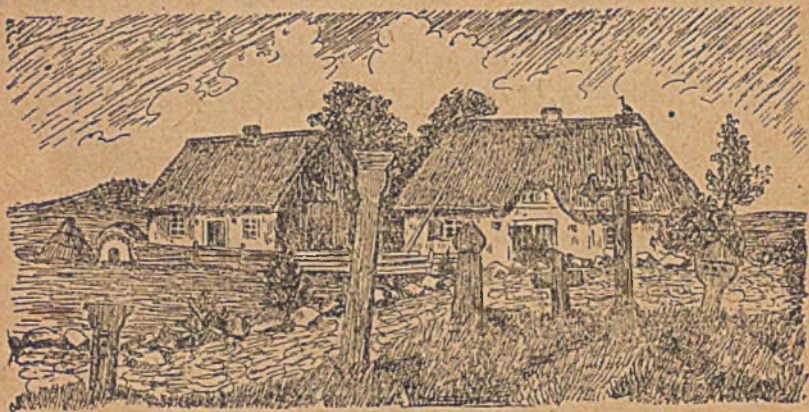
mchu i pleśni występowały dawno zmarłe postacie. Ujrzała rodziców, pastora Zakrow, pogrzeb ostatniego Kaszuba <sup>23)</sup> w Rewie; widziała, jak wraz z nim, zwyczajem kaszubskim, książkę do nabożeństwa wrzucono do grobu. Przypomniła sobie chwilę, w której pan baron, właściciel pięknego pałacu w Rewie, zamknął ją do aresztu za to, że kaszubskie śpiewała piosenki; widziała, jak dzieciom modlitewniki wydzierano z dłoni. Słyszała kaszubskie kazanie w Rewie, dźwięki kościelnych pieśni, śmiechy i pustoty rówieśnic, głośnie nawoływanie rybaków i powtarzając jak niegdyś za matką: *Ojciec nasz* stara Schimankowa zasnęła na wieki.

\*

Nazajutrz matkę Justusa odprowadzono na cmentarz. Bursztynowe fale Bałtyku jęczały głośno tłumiąc swoim szmerem dźwięki niemieckiej pogrzebowej pieśni.

Gdy trumnę spuszczano do grobu, płacząc Herta wrzuciła na spód mogiły ze czią przez babkę przechowywaną książkę, pamiątkę po jej rodzicach, której jednakże matka Justusa czytać już nie umiała. Hieroglif, niezrozumiały dla dzisiejszych mieszkańców Rewy, spoczął wraz ze starą Schimankową w ziemi.

Książką tą była *Biblia gdańska* <sup>24)</sup>.

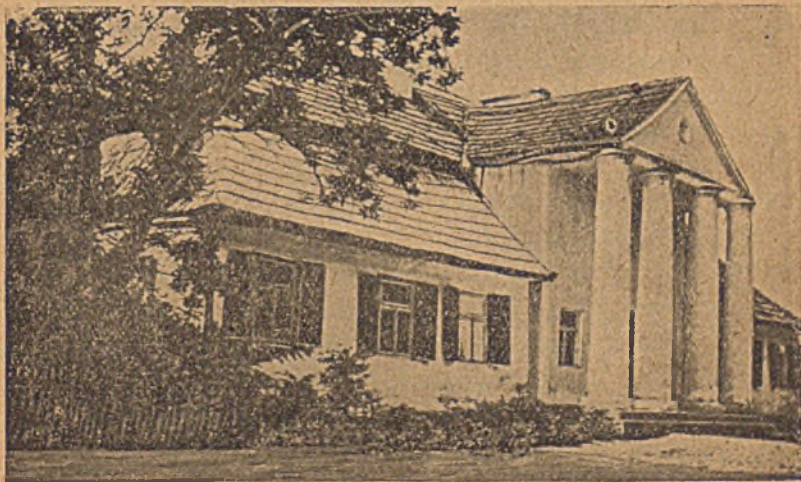


W wiosce słowińskiej



### Notatka biograficzna o Melanii Parczewskiej

Autorka *Nad morzem*, Melania Parczewska, należała do nielicznych w przedwojennym społeczeństwie polskim jednostek poświęcających uwagę zagadnieniom rozbudzenia i podtrzymywania polskości na dzisiejszych Ziemiach Odzyskanych. Córka powstańca z r. 1863, urodzona 18 grudnia 1850 r. w Wodzieradach pod Łaskiem, otrzymała staranne wychowanie i wykształcenie, które przez szereg lat dopełniała samouctwem. Mieszkała



Dwór w Wodzieradach

stale w pogranicznym wówczas Kaliszu. Jako współpracowniczka i współtowarzyszka swego brata Alfonsa Parczewskiego jeździła z nim wielokrotnie do zaboru pruskiego, a przede wszystkim na Śląsk: do Bytomia, Międzyborza i Wrocławia. Celem jej podróży było zawsze wyrwanie ludności polskiej ze szponów germanizacji. Środkami do tego celu — wygłaszanie odczytów uświadamiających narodowo, gromadzenie i organizowanie młodzieży, studentów, robotników, kobiet, inicjowanie czytelni ludowych. Zasięgiem swej działalności obejmowała Parczewska nie tylko nasze kresy zachodnie, lecz również Łużyce, szczególnie Dolne; była ona — jako jedyna Polka — członkiem Macierzy Serbskiej w Budziszynie.

Nie poprzestając na obronie polskości kresowej prowadziła Parczewska ożywioną działalność społeczną na terenie Kalisza. Przez szereg lat oddawała się tajnemu nauczaniu historii, geografii i literatury polskiej. W roku 1905 kierowała strajkiem szkolnym w Kaliszu i okolicy, później była przewodniczącą Stowarzyszenia Narodowego Kobiet Polskich Gubernii Kaliskiej i współdziałała w szeregu akcji społecznych i narodowych na terenie Kalisza. Prowadziła też — pod pozorem urządzania teatrów amatorskich — robotę konspiracyjną wśród rzemieślników i robotników kaliskich. Po spaleniu Kalisza przez Niemców w r. 1914 przeniosła się do Warszawy, gdzie znów uczestniczyła w wielu akcjach społecznych, zwłaszcza zaś w pracach Komitetu Kaliskiego opiekującego się kaliszczanami, których wojna wyrzuciła na bruk warszawski. Po wojnie, chociaż już zdrowie mocno jej nie dopisywało, pracowała w Sekcji Plebiscytowej Śląskiej, założonej przez Stanisława Bełzę<sup>1)</sup>. Ostatnią ogłoszoną drukiem pracą Parczewskiej była odezwa plebiscytowa do kobiet śląskich. Częściowego powrotu Śląska do Macierzy nie było już dane doczekać jednej z najdzielniejszych bojowniczek o jego polskość. Zakończyła życie w Kaliszu dnia 19 sierpnia 1920 roku.

Melania Parczewska zajmowała się pracą pisarską raczej na marginesie swej działalności społecznej. Mimo to twórczość



jej jest dość bogata i różnorodna. Składają się na nią prace naukowe obok opowiadań, felietonów, nowelek, powieści, utworów poetyckich i dramatycznych.

Wśród prac naukowych Parczewskiej zasługują na uwagę: *Z przeszłości i teraźniejszości Łużyc* (1889), szereg artykułów na temat folkloru (głównie śląskiego) drukowanych w *Wiśle*, artykuł: *Na Średnim Śląsku w Ziemi* (1914 — o polskich ewangelikach z okolic Międzyborza) i *Kalisz w czasie rewolucji 1830—31 r.* (praca pozostała w rękopisie).

Na pograniczu nauki i publicystyki stoi kilka szkiców o kobietach słowiańskich, w których kreśli Parczewska sylwetki bojowniczek o sprawę narodową czeską, słowacką, chorwacką i słoweńską.

Utwory beletrystyczne Parczewskiej skupione są około dwóch ośrodków tematycznych: pierwszy to dole i niedole Polaków pod zaborem pruskim, drugi — to prześladowanie polskości przez carat. Utwory pierwszej grupy były drukowane przeważnie pod nazwiskiem autorki w pismach warszawskich, pozostałe — bezimiennie lub pod pseudonimem A. G. Jer. w periodykach wielkopolskich i śląskich oraz we Lwowie.

Do pierwszej grupy można zaliczyć przede wszystkim powieść: *Nad brzegami Odry* (1901), osnutą na tle życia studentów polskich we Wrocławiu, a przedstawiającą budzenie się świadomości narodowej wśród młodzieży śląskiej. Należy też tu: *Nad morzem* oraz dwie inne nowelki. 1. *Na Górnym Śląsku* (1893) — przedstawia tragiczne dzieje Polaka — sztygara, który popada w kalectwo broniąc kopalni przed zamachem pijanego anarchisty i „w nagrodę“ za to zostaje wydalony z Niemiec. 2. *Wółka i Willburg* maluje niedolę chłopca, który — jak Ślimak — nie chce sprzedać Niemcom ojcowizny i którego za to dziedzic Prusak wyzuwa z gospodarstwa i doprowadza do śmierci. Bliska tej grupie utworów jest również powieść historyczna: *Dworzanin ostatniego Piasta* (1899), osnuta na tle panowania Chrystiana, księcia na Brzegu, Legnicy i Wołowie, przedostatniego z Piastów śląskich, Ignącego do Polski i pró-

bującego nawet postawić swą kandydaturę do tronu polskiego po abdykacji Jana Kazimierza.

Do drugiej grupy należy szereg nowel i opowiadań, zebranych później w tomiku pt. *Z dni ucisku* (1893). Malują one niedolę młodzieży w szkole rosyjskiej oraz smagają ostrzem satyry ówczesny rosyjski system urzędniczy.

Prócz wymienionych zasługuje jeszcze na uwagę nowelka pt. *Proboszcz*, stanowiąca jakby pomnik moralny znanego patrioty i działacza łużyckiego księdza Michała Hórnik<sup>2)</sup>.

Utwory poetyckie Parczewskiej to niemal wyłącznie przekłady poetów słowiańskich, szczególnie zaś czeskich (Vrchlicky<sup>3)</sup> i łużyckich (Cišinski<sup>4)</sup>).

Dramat jej osnuty na tle męczeństwa unitów na Podlasiu, oddany w rękopisie jednemu z dyrektorów teatrów wędrownych w Galicji celem wystawienia — zaginął.



### Uwagi bibliograficzne

Przeważną część utworów Melanii Parczewskiej zawarło zbiorowe wydanie jej pism w dwóch tomach (pierwszy pt. *Pisma* — Wilno 1929, drugi pt. *Nad Odrą, Łabą i Dunajem* — Wilno 1939). Brak w nim jednak noweli: *Proboszcz* i wielu prac rozproszonych po czasopismach. Wydanie to poprzedzone jest szkicem Bolesława Lutomskiego pt. *Melania Parczewska*, ponadto zawiera notatki bibliograficzne oraz *Wspomnienie o Melanii Parczewskiej* Sławomira Czerwińskiego. Jest to w tej chwili jedyne dostępne źródło informacji o autorce.

O Słowińcach mamy dwa artykuły Stanisława Wałęgi, ogłoszone w *Komunikatach Działu Informacyjno - Naukowego Instytutu Bałtyckiego* w nr 14/1945 i 4/1946. Ponadto informują o nich: Stanisław Helsztyński w pracy pt. *W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego*, Józef Mitkowski w książce pt. *Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski*, Witold Kochański w artykule pt. *Tragiczna walka Słowińców* (*Plomień*, nr 13/1947) oraz Ludwik Zabrocki w szkicu pt. *O Słowińcach i Kaszubach nadlebskich* (*Jantar* 3/1947), referującym wyniki badań naukowych przeprowadzonych przez autora w terenie w r. 1946 i 1947. Porusza też niekiedy na swych łamach zagadnienie słowińskie *Polska Zachodnia*. Dawniejsze prace polskie są trudno dostępne i przeważnie przestarzałe, niemieckie — tendencyjne.

Tekst *Nad morzem* oparto na tekście w *Pismach* Parczewskiej. Ortografię zmodernizowano, ponadto zaś spolszczono nazwy geograficzne, przytoczone w pierwotnym tekście w brzmieniu niemieckim. Zresztą wszystkie właściwości językowe autorki zostały zachowane. Portret Melanii Parczewskiej jest reprodukcją portretu z *Pism.* Z tego samego źródła pochodzi fotografia rodzinnego dworu Parczewskich w Wodzieradach. Mapka oraz ilustracja przedstawiająca fragment wioski słowińskiej są opracowane według rycin zawartych w pracy Tetznera: *Die Slaven in Deutschland.*





## Objaśnienia do „Słowa wstępnego“

- 1) W *Królu - Duchu*
- 2) W artykule pt. *Kilka uwag etnograficznych o Kaszubah* (Biblioteka Ossolińskich, 1847) oraz w szkicu „Na wyspie“
- 3) Ob. str. 3 Słowa wstępnego
- 4) *Resztki Słowian na południowym brzegu Morza Bałtyckiego*
- 5) *Czasopismo poświęcone Literaturze, Sztuce i Nauce Słowiańskiej*
- 6) Florian Cenowa (1817—1881); pierwszy literat kaszubski, autor publikacji *Skorb kaszebsko-słowińskie move*. Hieronim Derdowski (1852—1902), poeta kaszubski. Główne dzieło: poemat pt. *O panu Czorlińskim, co do Pucka po sece jachol*
- 7) Bernard Chrzanowski (1861—1944), wielkopolski działacz polityczny i oświatowy, wielki miłośnik morza, autor pierwszego przewodnika po wybrzeżu pt. *Na kaszubskim brzegu* i szkiców: *Z wybrzeża i o wybrzeżu*
- 8) Józef Kisielewski — współczesny literat polski, autor głośnej książki *Ziemia gromadzi prochy* (reportaż z podróży po wschodnich i środkowych Niemczech wykazujący słowiańską przeszłość tych terenów)
- 9) Właściwie: Rów
- 10) Szwał — krótki, porywisty wiatr z burzą; sztorm — długotrwały wichur

## Objaśnienia do tekstu noweli

- 1) *Sunt lacrimae rerum* — dosłownie: są łzy rzeczy, sens: można płakać i nad rzeczami (sprawami, wydarzeniami) — cytat z I księgi *Eneidy* Wergiliusza
- 2) Kewa (właściwie: Rów) — wioska rybacka między północnym brzegiem jeziora Gardno a Bałtykiem (w powiecie słupskim)
- 3) *Plattddeutsch* — dialekt niemiecki, którym mówią na północy Niemiec

- 4) Ustka — miasteczko i kąpielisko u ujścia Słupi do Bałtyku
- 5) *Wadder* — *Vater* (ojciec) w *Plattdeutsch*
- 6) *du* — ty (wyraz niemiecki)
- 7) graf — hrabia
- 8) *Lejtnant* — porucznik
- 9) Darłowo — miasto w pow. sławińskim nad Wieprzem; w pobliżu port rybacki
- 10) Gravelotte — wieś w Lotaryngii; 18 sierpnia 1870 r. pobili tu Niemcy Francuzów; w walce odznaczyły się szczególnie pułki poznańskie i pomorskie, złożone w większości z Polaków. Bitwę pod Gravelotte opisał Sienkiewicz w *Bartku-Zwycięzcy*
- 11) Hellmuth Moltke — wybitny dowódca i strateg niemiecki; zwycięzca spod Gravelotte
- 12) Nowe cesarstwo — cesarstwo niemieckie proklamowane w Wersalu po zwycięstwie nad Francją w r. 1871; nawiązywało do tradycji cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego, które przestało istnieć w czasie wojen napoleońskich
- 13) Kanclerz — Otto Bismarck — polityk niemiecki, twórca „nowego cesarstwa”; walczył z kościołem (*Kulturkampf*) i Polakami (szereg ustaw przeciwpolskich)
- 14) Warcin — wieś i majątek ziemski w pow. miasteckim; od r. 1867 własność Bismarcka, który tu często przyjeżdżał na wypoczynek.
- 15) *Frau Schimank* — Pani Szymankowa; Schimank — zgermanizowane nazwisko Szymanek
- 16) *Liebchen* — kochanie (wyraz niemiecki)
- 17) *Buch für alle* — książka dla wszystkich — tytuł brukowego wydawnictwa niemieckiego zawierającego „romanse zeszytowe“
- 18) asocjacja — skojarzenie
- 19) żuławy — obszary wytworzone przez nagromadzenie namułu w deltach rzek; w Polsce najbardziej znane są żuławy gdańskie.
- 20) perszeron — koń pociągowy
- 21) pastor Zakrow — ostatni pastor odprawiający nabożeństwa słowińskie w Rowie
- 22) prawo wydalenia — ustawa z r. 1885 postanawiająca wydalenie z granic Niemiec wszystkich Polaków nie posiadających obywatelstwa niemieckiego. W wyniku jej musiało opuścić zabór pruski ponad 30 000 Polaków
- 23) Kaszuba — tutaj w znaczeniu: Słowińca
- 24) *Biblia gdańska* — przekład *Pisma Świętego* dla ewangelików polskich, wydany po raz pierwszy w Gdańsku, w r. 1632 i bardzo rozpowszechniony, tak jak u katolików *Biblia Wujka*. Słowińcy nie posiadali własnego przekładu *Pisma Św.*, musieli więc posługiwać się *Biblią gdańską*, której zrozumienie nie przedstawiało dla nich trudności



### Objaśnienia do „Notatki biograficznej“

1) Stanisław Bełza (1849—1929), prawnik i literat, autor szeregu opisów podróży, zasłużony dla sprawy śląskiej

2) Ksiądz Michał Hórnik (1833—1893), działacz narodowy łużycki, zbieracz pieśni i przysłów ludowych, autor popularnych utworów dla ludu, redaktor *Czasopisma Macierzy Serbskiej*

3) Jarosław Vrchlicky (1853—1912), wybitny poeta czeski, tłumacz *Dziadów*

4) Ksiądz Jakub Bart-Ciśński (1856—1910), największy poeta łużycki; liryk — tłumacz Mickiewicza.

## S P I S   T R E Ś C I

	Str.
Słowo wstępne . . . . .	5
Nad morzem . . . . .	17
Notatka biograficzna o Melanii Parczewskiej . . . .	39
Uwagi bibliograficzne . . . . .	43
Objaśnienia do <i>Słowa wstępnego</i> . . . . .	45
Objaśnienia do tekstu noweli . . . . .	45
Objaśnienia do <i>Notatki biograficznej</i> . . . . .	47







STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

M 2.2045